

Bajka z morałem

W pewnym królestwie, którego nazwa ginie w mrokach historii, mieszkał książę. Fucha była całkiem niezła, plaça dobra, a jedyne zagrożenie stanowiła kombinacja złej wiedźmy i czaru zamieniającego w żabę. Na tę okazję książę utrzymywał kilka kurew o złotym sercu, które za dukaty pocałują praktycznie wszystko.

Idylla została zburzona. Królewska toaleta się zapchała. Gówno, a i obiekty natury okolo higienicznej wrzucane z pewnością przez rozartagnionych domowników do muszli, rzuciły wyzwanie prawom fizyki.

Zawstydzony książę postanowił nie wzywać hydraulika. Raz po raz pociągał za spłuczkę pełen nadziei, że materia nieożywiona wreszcie odpłynie i dołączy do swoich braci w kanale. Tchórzył jednak za każdym razem, gdy poziom wody podnosił się zbyt wysoko. Nie pozostało nic innego. Trzeba będzie fizycznie usunąć to gówno.

Strapił się książę. Najbliżej czegoś co dziedziczyło wszystkie właściwości fizyczne gówna znalazł się podczas tego spotkania z dyplomatami kraju, którego nie kochał przesadnie. Zabawa ekstremistami nie znajdowała się wysoko na liście rzeczy, których szlachetnie urodzeni podejmowali się bez żachnięcia. Nie licząc tych zboków od markiza De Sade. Z sercem pełnym rozpacz i duszą pełną strachu pociągnął za spłuczkę jeszcze raz.

Obserwował jak poziom wody podnosi się i podnosi. Kiedy wydawało się, że już za chwilę woda przeleje się za brzegi rozległo się ciche mlaśnięcie i breja opadła gwałtownie. Sytuacja została opanowana dzięki odwadze wrodzonej niechęci do pracy fizycznej i wiary, że Einstein pomylił się w przyszłości mówiąc, że problemów nie da się rozwiązać tym samym sposobem myślenia jakim się te problemy stworzyło.

Prawdziwy intelektualista woli poczekać, aż mu się kibel zapcha z jego własnej winy. Gdy się już zapcha, zaryzykuje rozwiązanie proste i o małych szansach powodzenia. Jan Kowalski popchnie gówno sam. Dlatego właśnie świat pełen jest szczęśliwych prostaków i zasrańców oczekujących, że problemy zasadniczo rozwiązują się same jeśli się poczeka dość długo.

2010/05/05 [3 komentarzy »](#)



Magiczne, rewolucyjne, nie do uwierzenia

"Kto nie publikuje w iBooks ten przegrał życie."

Anonimowy komentator Onet.pl

Prawdziwego mężczyznę poznaje się po tym jak kończy (i po kapeluszu), a ja kończę z opuszczoną głową, którą mam zamiar podnieść w obliczu nowej nadziei jaką niesie ze sobą najnowsze dziecko Apple, iPad. Bądźmy szczerzy: jest tylko jedna firma, która może zmienić sposób w jaki postrzegamy świat, sposób w jaki konsumujemy media. Zamykają kina, Wall Street Journal się nie sprzedaje, New Yorker zwalnia, mało kto czyta bronikowski.com — możemy więc uznać, że kultura konsumpcji treści wysokiego lotu upada.

iPad zmieni to wszystko. Tak jak iPod zmienił świat cyfrowej muzyki. Książki, filmy i gazety pod opuszkami palców. Inteligentna konsumpcja treści, która wpisuje się tak dobrze w nowoczesny świat, w którym przyszło nam żyć. Monetyzacja. Synergia. Boso po kalifornijskiej łące z plastikowym kubkiem z kawą.

Widzę też problemy. Apple słynie z pomijania naszego kraju, tak zasłużonego przecież i oddanego firmie z Infinite Loop, w dostępie do cyfrowych kanałów dystrybucji. Póki nie wyjaśnię tej sprawy, a wiedzcie, że napisałem już stosowny e-mail pod sjobs@apple.com, będę musiał polegać na archaicznej metodzie dystrybucji jaką jest RSS.

<http://ipad.bronikowski.com>



W przyszłości mam zamiar przenieść całego bloga do iTunes Store, jedna notka za dziewięćdziesiąt dziewięć eurocentów. Myślę, że cena jest fair. Zwykły tekst kosztuje mnie 2*Guinness i paczkę fajek.

2010/04/01 [4 komentarzy »](#)



Wyłącznik zmierzchowy

Stałem na przystanku i właśnie wtedy bóg zamrugał do mnie oczami miasta. Na rozkaz niesłyszalnego głosu uliczne lampy otworzyły swoje brudne klosze z sodowymi źrenicami.

Stałem tak, zdziwiony jak dziecko, podziwiając ten akt tworzenia. I stała się jasność. Krwiobieg ulic popłynęły tramwaje. Wczorajsze kałuże zatrzymały się na chwilę zdjęte chłodem.

Zimowe ulice strząsnęły z siebie ostatnich spacerowiczów. Oparty o wiatę przystanku podziwiałem swój oddech w powietrzu i dumiałem nad smutnym faktem: coraz rzadziej rozważam, co by było gdyby. Gdybanie jest świetną rozrywką dla osoby, której zestaw problemów ogranicza się do następnej butelki wina, następnego blanta i wahań na rynku zupek gotowych do spożycia po zalaniu wrzątkiem. Ostatnio problemy ścięły włosy, założyły garnitury i wydorosłały. Siedzą gdzieś na brunchu debatując o najnowszych trendach we wnoszeniu opłat za farmę serwerów i paradygmatach w konsumpcji kredytów odnawialnych.

Co by było, gdyby wyłączyli oświetlenie w mieście? Zapytałem kiedyś o to w parku Zdrowie, nocą, patrząc w utopione świetlnym smogiem niebo. Wszyscy zgodzili się, że byłoby całkiem super. Sekundy później horyzont zgasł. Gdzieś w elektrowni musiał wyskoczyć bardzo duży bezpiecznik. Przyduszony narkotycznym dymem wysapałem z siebie monosylabę zdziwienia i ekscytacji. Na niebo wciągnięto planszę "przepraszamy za usterki", razem z białymi kropkami gwiazd.

Co by było, gdyby wyłączyli oświetlenie w mieście? Pewnie by nam obrobili biuro. Dlatego nie zadaję sobie już tych pytań, rzeczywistość jest męcząca.

Gdyby baba miała wąsy, to z pewnością stałaby się rzecznikiem jakiejś firmy oferującej laserowy zabieg usuwania nadmiernego owłosienia, razem z kampanią wirusową i fanpage.

2010/03/18 [Jeden komentarz »](#)



Bohdan

Bohdan spał w krzakach jałowca. Nie od początku do końca swojego życia, ale przez kilka dni, które spędziliśmy nad wodą. Bohdan miał sweter, skołtunioną brodę, potargane włosy i oddech pijaka. Trzy pierwsze elementy miały wkomponowane igły jałowcowego legowiska. Jak wszyscy obecni na tym wyjeździe, oddawał się prostym przyjemnościom: siedzeniem porankiem na brzegu zalewu z wędką, spożywaniu dużych ilości alkoholu kupowanego na kanistry od wycofujących się braci ze Wschodu, jedzeniu mielonki i puszczaniu bąków. Nie mogę przecenić wkładu tych rybackich wyjazdów w kształtowanie mnie jako obywatela i mężczyzny.

Od czasu do czasu, przy kolacji, odbieraliśmy też wykształcenie klasyczne. Bohdan zapytał mnie znad puszek mielonki:

- Emil, Ty się uczysz niemieckiego w szkole?

- Tak! Bardzo mi się podoba — tu się przedstawiłem z adresem, używając najlepszego akcentu podkradzionego z amerykańskich filmów o nazistach.
- To jak będzie “zmęczony” po niemiecku?
- Hmm — zrobiłem przerwę, która sugerowała że zapomniałem, ale z pewnością wiedziałem.
- Müde!
- Ach, właśnie.
- To tak jak w zdaniu, jak kolega wyciągał mnie w Berlinie do burdelu, powiedziałem mu “Thomas, ich bin zu müde”.

Bo Bohdan był sztandarowym biznesmenem tego okresu. Jak w piosence Big Cyca: “Renta, stypendium — wyżyć się nie da. Tu kupisz, tam sprzedasz — nie weźmie cię bieda”. Nie zadawałem sobie pytań o to, czemu biznesmen tej klasy, odrzucający zaproszenia do niemieckich burdeli, sypia w krzakach jałowca. Sam chciałem spać na dworze, ale mi zabroniono. W moim umyśle jasnym stało się, że tylko ktoś, kto trzyma życie w garści, może spać gdzie chce.

Wróciliśmy z wycieczki. Bohdan stał się częstym gościem w naszym domu. Przy stole przytaczał anegdotki z życia, zapamiętałem jedną, którą opowiadał nie bez dumy. Jego córka przekomarzała się ze swoją koleżanką o to, co mają lepsze i większe. Wygrała przez nokaut stwierdzając, że jej tata ma większe długi niż tata koleżanki.

Następnego dnia ojciec wziął mnie na stronę i jał mi tłumaczyć historię Bohdana. Kupił on do spółki z kimś młyn, z miłości do siebie wystawił sobie pieczętkę prezesa i nią całował dokumenty, wspólnik zabrał forszę i wyparował. Co mi było po tej wiedzy? Otóż prezes upadłego młyna chciałby pożyczyć ode mnie telewizor.¹ Poruszony historią zgodziłem się, uprzedzając, że bardzo będę się cieszył jak mi go szybko zwróci, bo brak telewizora odcina mnie od komputera, a nie mam zamiaru walczyć z matką o dostęp do tego w pokoju, bo ogląda się na nim Lzaure.

Kręcąc się na fotelu, dwadzieścia dwa lata później, dumam sobie nad biznesem w ogóle. Dumam bez telewizora, który pożyczył ode mnie Bohdan, a którego nigdy nie zwrócił. Gdybym wyciągnął wcześniej wnioski ze spotkania z królem jałowcowego zamku, to może żyłoby mi się łatwiej. Trzeba okradać głupszych (którzy wystawiają sobie pieczętki dla picu), albo słabszych i naiwnych. Najlepiej kogoś, kto dziedziczy wszystkie te trzy cechy i dzięki temu jest pracownikiem wprost idealnym.

1. dla ludzi z innej epoki, kiedyś podłączało się komputery do telewizorów [↔]

2010/02/22 [8 komentarzy »](#)



Świetnie poinformowany kretyn



Świat wybitnie zorganizowany

“Kiedy umażesz się majonezem sięgając do klawiatury, to znak, że czas już posprzątać na biurku”. To lub bardzo podobne zdanie wyszeptalem kiedyś komunikatorem do ucha czy też oka Shota. Zdanie to unaocznia czytelnikowi, że lubię majonez na tyle, aby przynieść kanapkę z nim do centrum dowodzenia, jakim jest biurko, i że czasem potrafię zrobić dookoła siebie burdel. W sensie czysto platonicznym: skarpetki-na-podłodze, nie kurewki-za-pieniądze.

I tak jak mogę bez problemu przejść nad kolekcją brudnych kubków, co do których dostaję już listy z Instytutu Geografii od profesorów, którzy chcieliby pobrać próbki warstw taniny i dowieść, że zeszyły czwartek odbył się zgodnie z planem, mimo fatalnej pogody, to nigdy nie przepuszczę jednak plikowi na

twardym dysku, który zawieruszył się w "złym" miejscu. Dostaję bolesnych skurczy widząc u kogoś katalog "różne", w którym zbiera swoje wiersze.txt, swoje filmy.avi, wspomnienia z wakacji.jpg i mu to nie przeszkadza. Kiedy ty czy on ściągasz wszystko na Pulpit, bo tam się znajdzie, bo pod ręką jest, a potem to gnije jak mięso, które utkwilo w dziurawym zębie.

Komputery to prawdopodobnie jedyna dziedzina mojego życia, którą kontroluje w stopniu zadowalającym, pozwalam więc sobie na rozwijanie mojego kompulsywnego stosunku do porządku (a jest to porządek szyty na miarę starych zamordystycznych państweczek, gdzie "strzelać, potem zadawać pytania" jest drugim punktem konstytucji) i nie zwracam uwagi na łyż bliskich mi osób, którym wykładam ze szczerością, że ich top-posting w e-mailu zepsuł mi wątek, przez co mam rozwalony dzień, i jak oni się czują z tym i czy chcą porozmawiać z moimi klientami, skoro już próbują niszczyć moją komunikację ze światem.

Nie jest to wielkie upośledzenie. To takie kuśtykanie na jedną półkulę mózgu. Większość ludzi wie, że nie idzie się tym zarazić kropelkowo czy też przez stosunek seksualny. Mój większy problem stanowi chęć sprawdzania nowych rzeczy. Ten stan przypomina kogoś, kto porażony arachnofobią rozwija w sobie talent do odwiedzania kilkudniowych paneli naukowych o pająkach, a pod wpływem wielu mądrych ludzi i ich opinii (a i własnej ciekawości) zakupuje pająka, by co wieczór podskakiwać z krzykiem "Kurwa, jaki wielki pająk!" i łapiąc się za serce przetrwać fakt, że ma go na własne życzenie.

"Telepatia bez mózgu"

Tłumaczyłem mojej siostrze fenomen Internetu. Było to w czasach, kiedy kobiety były kobietami, mężczyźni mężczyznami, modem 14.4K był luksusem, a do snu gwizdałem sobie nośną 0202122. Jakieś czternaście lat temu. Tłumaczyłem jej, że tu, teraz, mogę wysłać wiadomość do kogoś mieszkającego w Afryce i on ją otrzyma nie za miesiąc, nie za tydzień, a za kilka sekund. Była to fantastyczna wizja. Świat skurczył się niczym tandetna podkoszulka po drugim praniu.

Wtedy nie zadałem sobie pytania, czy ja mam coś do powiedzenia temu komuś i czy ten ktoś ma mi do powiedzenia coś, co będzie interesujące. Dziennie otrzymywałem trzy e-maile, które czytałem z najwyższą uwagą i na które odpisywałem godzinami (rekord to prawie sześćdziesiąt kilobajtów relacji z osiemnastki znajomych, na którą **Maciek** nie odpisał do dziś w całości).

Przewijamy do 2010 roku. Dziś otrzymałem 62 e-maile, większość skasowałem bez czytania. Te, na które odpisałem, składały się z kilku linii. Kanały RSS wyprodukowały 174 nowe wiadomości, połączone siły Facebooka, Blipa i Twittera dorzuciły kolejny tyśiąc postów. Przegadałem ponad godzinę przez Skype. Przeczytałem kilka wątków na tym i owym forum.

Napisałem czterdzieści linii kodu.

Po całym dniu wiem mniej, niż wiedziałem, gdy podnosiłem zwłoki. Rozwiązałem zero problemów, doszły dwa nowe. Nie uczę się już nowych rzeczy, spędzam czas na kasowaniu informacji, ignorowaniu informacji, zarządzaniu informacjami, przekazywaniu informacji. Mija dwudziesta godzina przed klawiaturą i nie czuję abym wyprodukował coś, co ma jakiś sens, tak z osobistego jak i zawodowego punktu widzenia.

Zbudujcie, a przyjdą. Przyjdą. Przyjdą. Przyjdą.

Google wydało dziś nową zabawkę, Google Buzz. Poczuję się pokonany. Totalnie pokonany, jak młody partyzant pochwycony przez wroga. Siedzę tu i patrzę jak moje miasto jest niszczone, matki i córki gwałcone na mojej ziemi, mężczyźni rozstrzeliwani. To był kiedyś mój komputer. Teraz jest to komputer społeczności i choćbym się wrywał, kopał i szarpał, to mogę być z nimi, albo z nimi, ostatecznie z nimi.

Wszystkie znaczenia trafił szlag. Na Facebooku moim przyjacielem jest **Piotr Petrus**. Wymieniamy się czasem e-mailami. Na Facebooku moim przyjacielem jest **Joel Watson**. Dorzucam się na jego komiks i podcast. To fantastyczni ludzie, ale z pewnością nie przyjaciele. Tak to już jest, wszyscy jesteśmy przyjaciółmi. Doubleplus good w nowomowie. Ale to mniejszy problem.

Większy problem leży w tym, że Joel'a śledzę też na Twitterze. Automat puszcza te same informacje tu i tu, czytam więc dwa razy. Są osoby, które śledzę na Blipie. Dzięki wtyczkom dodają oni swoje informacje na Facebooka i Twittera. Wczorajszy tekst **Czerskiego** dostałem przez RSS, Facebooka i jeszcze e-mailem do kogoś. **Patryk Zawadzki** jest encyklopedią dziwacznych odnośników. Google automatycznie dodało go do "obserwowanych" w Google Readerze, bo wymieniamy się e-mailami. Większość rzeczy trafia do mnie dwa razy, od dziś będzie trafiać trzy razy, bo Google Buzz pożywia się informacjami z wcześniej wspomnianego czytelnika RSS.

Wiem, że mogę nad tym zapanować. Przestać obserwować kogoś na Twitterze, ukryć statusy na Facebooku, obciąć listę kanałów, przestać w ogóle czytać. Hydra informacyjna wypuszcza dwie nowe głowy na miejsce tej ściętej. Mogę pokasować konta, tak jak goście uzależniony od methu może przestać robić laskę za kolejną działkę.

Nowe oświecenie

Wiem co **jecie**, jakiej muzyki **sluchacie**, gdzie **lazicie**. Z większością z was nie miałem okazji napić się wina w ciepły letni dzień i wymienić opinii co do drużyn piłkarskich. Google wie o mnie więcej niż moja dziewczyna. Facebook kradnie moje komentarze, bo z próżności dodałem swoją stronę do **odpowiedniego katalogu**. Znam meme o penisie Lady Gaga. Nie wiem kto to jest Lady Gaga. Żyję w świecie, którego byłem adwokatem i promotorem. Połączonego świata w którym nieskrępowana informacja jest w zasięgu ręki. Jestem wybitnie poinformowanym kretyńcem.

Zdjęcie wykonane przez **WSDOS** na licencji Creative Common.

2010/02/10 **30 komentarzy »**



“Tak” dla cenzury Internetu

Placz. Internet, w swojej wielogłowej i bezmózgiej masie, zaniósł się płaczem! Och, rząd chce nam zamykać strony! Różni **samozwańczy spece od prawa** czy **inni anarchiści** atakują ten rozsądny pomysł ostrzami swoich paragrafów. Jakże krótkowzroczna, jakże niesprawiedliwa jest taka krytyka, ba, powiedziałbym nawet — krytykanctwo!

Rozważmy Internet. Miejsce, w którym każdy idiota może napisać dowolną rzecz bez ponoszenia konsekwencji za swoje słowa. Internet, miejsce, gdzie zasłużeni dla kultury artyści, tacy jak Shakira czy Megan Fox, są ograbiani z ciężko zarobionych pieniędzy. Śmietnisko ludzkości, gdzie za jednym posiedzeniem można sprawdzić, jakie **narkotyki** dziś mają dobrą cenę, **pooglądać rozebrane laski**, **wystąpić z kościoła rzymskiego** i dowiedzieć się faktów o rzeczach, o których przed ślubem powinieś wiedzieć tylko z **opowiadań przy trzepaku**.

Spójrzmy prawdzie w oczy. Trzeba podjąć kroki, radykalne kroki, które ukrócą to szaleństwo. Widzę potrzebę cenzurowania Internetu tak, aby młodzi ludzie nie nasiąkali głupotami, nie spędzali czasu na bezproduktywnych debatach i produkowali ku większemu dobru społeczeństwa. Jako administrator kilku serwerów mam zamiar podjąć odpowiednie działania na własną rękę, ale jak tylko odpowiednia ustawa zostanie wprowadzona w życie, wyślę do łódzkich dostawców Internetu list zachęcający do poparcia mojego projektu samocenzury.

Proponuję następującą listę stron szkodliwych dla młodych ludzi i Polaków w ogóle. Stron zawierających kłamstwa, radykalne idee, nawołujące do konfliktów, zawierające materiały szkoleniowe dla radykałów.

- platforma.org
- sd.pl
- pis.org.pl
- sld.org.pl
- uniapraczy.org.pl
- psl.org.pl

Listę tę należy poszerzyć o indywidualne strony liderów. Mam nadzieję, że podpisujący ustawę politycy docenią moje działania wyprzedzające i zrozumieją, że demokracja demokracją, ale racja musi być po naszej stronie.

2010/01/22 **11 komentarzy »**



2010

Był 2009, będzie 2010, a po nim i 2011. Nie ma powodu do paniki. Nie ma też powodu do upijania się tanim szampanem. Pewnie, stojąc dziś w oknie i podziwiając eksplozje, postanowicie sobie coś. Że schudniecie, że rzucicie palenie, że zaczniecie pracować jak porządni ludzie, o spłaceniu długów pomyślicie.

Do końca tygodnia zapal wyparuje razem z alkoholem, a poniedziałkowy dzień pracy rozpoczniecie od pożyczania piątką na słodką bułkę, którą zjecie, popijając kawą i zaciągając się kolejnym papierosem.

To nasza natura. Wierzmy, że w sumie jesteśmy całkiem dobrymi ludźmi, którzy potrafią się zmienić. Wymiana kalendarza pomaga nam okłamać się po raz kolejny. To nowy początek, myślimy. Początek może i nowy, ale Ty jesteś ten sam, stary. Ten sam, który miał postanowienia w 2005, 2004.

Moje noworoczne postanowienie będzie bardziej przyziemne. Realistyczne. Nie będzie stało w sprzeczności z ostatnimi dziesięcioimi laty mojego życia. Nie wymaga modyfikacji diety i plastrów z nikotyną. **Ernest** powiedział:

Write drunk; edit sober.

Tak jest Panie H., dawać ten 2010.

2009/12/31 [4 komentarzy »](#)



Zgredminator



W ostatnich dniach grudnia 1979 podjęto decyzję o nieprodukowaniu więcej ludzi z lat siedemdziesiątych. Nadchodziły nowe, ekscytujące, lata osiemdziesiąte. Mówiono, że te modele, które zaprojektujemy w przyszłości, będą miały dusze i bardziej humanoidalne kształty.

W wyniku zaniedbania model 22121979-01-E uciekł i od trzydziestu lat ukrywa się na obrzeżach społeczeństwa. Najbardziej nieposzukiwany przestępca wymyka się nieistniejącym pościgom ze sprawnością martwej myszy w śmietniku.

2009/12/22 [17 komentarzy »](#)



Incitatus

Przenosimy się do studia telewizyjnego, gdzie wywiadu udzieli nowa gwiazda polskiej sceny politycznej, poseł Breja. Oddajemy głos redaktorowi prowadzącemu wywiad.

- Pani Pośle, wystosował Pan interpelację w której padł postulat delegalizacji ciemnych miejsc. Jak stwierdził Pan w podsumowaniu, ciemne miejsca służą ludziom do popełniania gwałtów, morderstw i rozbojów. Są siedliskiem zepsucia i moralnego upadku. Padło też stwierdzenie, że nastoletnie prostytutki robią tam laskę za karty-zdrapki służące uzupełnianiu konta na telefonach komórkowych i że najlepiej idą po pięćdziesiąt złotych. Moje pierwsze pytanie jest więc takie: skąd tak dokładne informacje?

- Pani Redaktor, czasami człowiek musi się spuścić między obradami. Moje informacje pochodzą więc z pewnego źródła za sklepem spożywczym Żabka.

- Rozumiem. Wywołał Pan swoją interpelacją ogólną dyskusję. Fora fanów hodowli pieczarek i fora fotograficzne pełne są ludzi, którzy twierdzą, że nie całkiem rozumie Pan skutki swojej interwencji poselskiej. Jeden z uczestników stwierdził, że, cytując, "bym zajebał go w ten pusty baniak, to by mu oczy wpadły do gardła". W artykule, który po tych wydarzeniach ukazał się w ogólnopolskiej gazecie, powiedział Pan, że grzybiarze do spółki z ludźmi, którzy mają ciemne sypialnie, wydali na Pana wyrok śmierci. Czy może Pan to jakoś skomentować?

- Proszę Pani, ja się oczywiście na niczym nie znam. Próbuje z kolegami w sejmie przepchnąć najbardziej medialne i populistyczne ustawy, które pozwolą nam dobrze wypaść w oczach niewydukuwanej tłuszczy. To głosami ludzi, którzy reagują na monosylaby i hymny, wygrywamy wybory. Gdybym ja się na czymś znał i mógłbym się z tego utrzymać, to jak Pani myśli, byłbym posem? Oczywiście, że nie. Robiłbym coś pożytecznego. Sam problem ciemnych miejsc wydawał mi się tematem na tyle dobrze rezonującym ze zwykłym czytelnikiem Faktu, że bez rozważania jakichkolwiek za i przeciw ogłosiłem swoje stanowisko. Nie jest mi przykro, nie mam też zamiaru odszczekiwać niczego.

- Jest Pan politykiem partii liberalnej, która niosła na sztandarach hasła normalności. Czy wyborcy mogą się czuć oszukani?

- Wyborcy to tylko słowo zastępcze na oszukani. Pamięta Pani taką gromadę różnych kanap politycznych z fałszywym premierem? Albo tę lewicową partię, która przed hierarchami kościoła rzymskiego była zawsze na kolanach, z otwartymi ustami i zamkniętymi oczami? Ci, po lewicowcach, byli tak antypatyczni, że mogliśmy startować z hasłem "Wyjechać tamtych" i wygralibyśmy w cułgach.

- Dziękujemy za wywiad. Jakież ostatnie słowa do widzów?

- Jębcie się, smarki.

W następnym odcinku programu "Wywiad pod wpływem serum prawdy" zapytamy użytkowników Internetu o ich ulubione strony.

Piotr "Vagla" Wagłowski o tym samym, na serio.

2009/12/17 [9 komentarzy »](#)



Brud

Telefon

Studzienki zapchały się śmieciami i rzygały na krzywe chodniki. Lampy oświetlały ulice trupim światłem, a ludzie zdawali się wymykać chyłkiem z okolicy. Nieogłoszona godzina policyjna wybiła.

Dookoła brudnych ulic tłoczyły się ślepe budynki, w których czynsz płaci się raz na jakiś czas. Nory sypialne dla niewykwalifikowanych robotników, domowe żłobki matek tak wielu dzieci, że skończy się imiona świętych. Miejsce, gdzie zakwitła specjalna odmiana kapitalizmu: samozłaćwizm. W obrębie kilku ulic można znaleźć wszystko. Odrobinę miłości, radość zgniecioną w małe porcje opakowane w aluminium, lokalnych sędziów wydających szybkie wyroki, pożyczkę na bardzo niekorzystny procent z kolanami w zastawie, kogoś kto pomoże wyrównać szanse (pierwszy magazynek gratis) na zaistnienie w świecie. Długie ramie sprawiedliwości wzdrygało się przed sięgnięciem po łokieć w rzekę gówna, więc wszystko toczyło się swoim tempem odmierzającym bezgotówkowymi przelewami krwi.

Nie można powiedzieć, że ludzie żyjący tam byli jakoś szczególnie źli. Od ludzi żyjących w innych częściach miasta różniła ich tylko częstotliwość, z jaką spoglądali na mur w ślepych zaułku swojego życia. Ciągłe ładowanie na końcu drogi bez wyjścia rozwinięło w nich talent wybijania dziury własną głową lub wspinania się. Rozłupana czaszka, podarte spodnie i twarde ręce były wliczone w koszty, bezkompromisowość była darem niebios.

Drewniane schody. Drewniane drzwi. Drewniane drzwi się nie domykają, sparciały dawno temu. Za nimi ściana i skrzynki pocztowe. Wszystkie otwarte. Poczta przychodzi tylko rachunki i życzenia świąteczne. Jednych i drugich się nie kradnie. Dalej lista mieszkańców, nieaktualna od zawsze. Schody, piętra i drzwi. Za jednymi z nich czyjaś córka, czyjaś matka, czyjaś babcia: święta trójca na głodowej emeryturze. Podczas wysiłku wojennego pracowały w fabryce silników. Silniki były potrzebne. Potem wrócił mąż, przyszło dziecko, mąż odszedł. Historia tak banalna, że mogłaby się pod nią podpisać większość kobiet z budynku, w którym nie kradnie się tylko życzeń i rachunków.

Ludzie w takich miejscach rozwijają jeden talent, zgodnie z darwinistyczną teorią doboru naturalnego. Każdy potrafi dodawać w głowie do setki, zna różnicę między gramem a dekagramem. Za drzwiami mieszkań dzień w dzień dokonują się cuda ekonomii i arytmetyki. Jak nakarmić pięć osób, dwa gramy haszyszu z półgramowej kostki.

W pokoju zapada decyzja. Jest to decyzja przemyślana, poparta wynikami obliczeń, które roją się na kawałku kartki. Stara kobieta, która zastawiła swój medal za wkład w wysiłek wojenny, bierze swój woreczek z monetami i odbywa powolną podróż do jedyne go czynnego automatu telefonicznego. Schodek-schodek-schodek-oddech. Otwarte tu i ówdzie drzwi tworzą system stereo. Kanał lewy: kłótnia małżeńska. Kanał prawy: dziecko z gorączką bada pojemność własnych płuc. Schodek-schodek-schodek-półpiętro-oddech. Kanał lewy, kanał prawy, otwarte okna skierowane w zamkniętą niekę podwórka. Uniwersalny odgłos pieprzenia się. Darmowa zabawa dla wszystkich, cieszy się wielką popularnością wśród samozłaćwistów.

Wiszący telefon był centrum biznesowym. Wystarczająco anonimowy, żeby zaspokoić paranoję sprzedawców. Nakarmiony monetą, wydał z siebie sygnał tonu.

- Halo? To ja, babcia B. Tak. Właśnie policzyłam i powinno się udać. Wiesz, ile teraz wszystko kosztuje. Nie, nie mogę sama. Wiesz, że nie mogę iść nawet do sklepu, a wieczorami kręci się tu wielu meneli. Czemu nie wyślesz C.? Nic się nie stanie, C. ma łeb na karku. — B. słuchała przez chwilę szybkiego i ostrego tonu dochodzącego z słuchawki — Wiem. Nie da się zrobić omletu bez rozbijania jajek. Wyślij ją.

Odłożyła słuchawkę i zatarła ręce.

Podróż

C. zrzuciła plecak na podłogę. Woda mineralna, poręczna pałka, osiem owiniętych w aluminium kostek. Nóż w kieszeń, bardziej dla poprawy samopoczucia, bo gdy dojdzie do walki, to lepiej uciekać. Bluza z kapturem.

- Mamo, wychodzę!

- Idź, tylko uważaj na siebie. Zadzwoń po wszystkim i nie zapomnij zrobić zakupów wracając.

Ruch o tej godzinie, nawet w tej części miasta, gdzie żyli ludzie z prawdziwymi życiorysami, był znikomy. Gdzieś spóźniony właściciel psa przestawał z nogi na nogę w oczekiwaniu na zasranie wspólnego, więc niczyjego trawnika. Równo rozstawione latarnie rzucały snopy światła we mgle, tworząc iluzję estradowych reflektorów, w których blasku okoliczni ludzie odgrywali scenę spaceru, palenia papierosa i oczekiwania na komunikację miejską.

Autobus się nie spóźnił. W mieście autobusy się nie spóźniają. Są zawsze w odpowiednim dla kierowcy momencie. C. usiadła na fotelu, oparła głowę o szybę i oddała się komunikacyjnemu nieistnieniu. Jedyne sposoby na podróż, gdy za oknem zmieniają się tylko numery domów i ulice, ale nie zmieniają się widoki. Miejsce w autobusie kurczyło się i powiększało, gdy do środka wpływały i wypływały krwinki miasta. Puls serca odmierzany przystankami przy centrach handlowych i granicach dzielnic. Gdy dojechali do przystanku C., autobus był już prawie pusty. Jechała ona i kilka osób, przy czym tylko ona świadomie, bo reszta zdawała się spać lub nie być w stanie określić swojego miejsca na trójwymiarowej macierzy X, Y i ogólnego sensu życia.

Teraz prosto. Trzeba pamiętać o odpowiedniej postawie. Sylwetka wyprostowana, ale niewyzywająca. Nie obracać się przy każdym odgłosie. Na szczęście droga do B. nie wiedzie przez wiele punktów zapalnych. Trzeci zakręt, przy szkole i stąd już kawałek.

- Hej?

Nie zatrzymywać się. Idziesz dalej nie zdradzając, że usłyszałaś.

- Hej? Hej!

Ręka w panice przesunęła się do kieszeni i ścisnęła nóż. Pozostaje mieć nadzieję, że kroki, które za sobą słyszy, należą do niewidomej kostki masła, bo tylko wtedy ma szansę czegoś dokonać tą finką.

- Hej? – coś chwyciło ją za ramię. Odwróciła się na pięcie z uniesionymi rękoma.

- Spokojnie, spokojnie. Spokojnie!

Kobieta, która zaczepiła C., miała na sobie coś, co mogło być kiedyś suknią wieczorową. Jej uśmiech ozdabiała szminka nakładana z przekonaniem, że ilość zdecydowanie pokonuje jakość, i prawie kompletnie uzębieniem. Kiedy mówiła, przekrzywiała delikatnie głowę i nerwowo wyłamywała palce z długimi paznokciami pokrytymi popękany lakierem.

- Tak sobie myślę. Tak sobie myślę. Nie bierz mnie tylko za wariatkę. Tak sobie myślę, że możesz poratować siostrę. W potrzebie siostrę.

C. patrzyła na nią w ciszy. Była jeszcze przerażona nieoczekiwanym zatrzymaniem.

- No więc, więc? — dopytywała tamta — Masz? Bo widzisz. Ja już nic nie mam od tygodnia, a wiesz, wiesz, że jest źle. A jak będzie źle, to już nic nie zarobię. Bo ja jestem tancerką, kilka ulic stąd, egzotyczna jestem.

Wykonała chwiejny obrót, złapała za brzeg spódnicy i uniosła nogę w pozorowanej wersji ulicznego kankana.

- Ale ja niczym nie handluję. Niczym. — powiedziała wreszcie C.

- Handluję. Pewnie, że nie. Tragarza poznam, poznam. Nie raz Cię widziałam. Do tej kurwy nosisz, do tej B. A ona mi już nie da, bo kiepsko z pieniędzmi.

Normalnie próbowałyby zignorować lokalny element, zwłaszcza pod postacią rozsypującej się kobiety, ale coś w postawie tamtej sugerowało, że szaleństwo jest jej alternatywną drogą do prowadzenia dialogu. I że będzie z tego wtedy kupa problemów. Usiadła na krawężniku i otworzyła plecak, wyciągnęła jedną z aluminiowych kostek i przy pomocny noża uniosła małą część na wysokość oczu. Towarzyszka usiadła obok niej i poklepując się w uda z radości powiedziała:

- Wiedziałam, że siostrze pomożesz.

Odgłos wciągania proszku, chwila ciszy. C. patrzyła, jak tamta czyści ostrze noża palcem i wciera resztkę pyłu w wargi. Profilaktyka dentystyczna dla ćpunów. Częstowana zamruwała, a później przeciągnęła się jak

kot po wyjątkowo dobrej drzemce w słońcu.

- No, to jest, kurwa, to. Dzięki. Ha. Jestem Ci winna. Jak coś, to wiesz.

- Nie ma sprawy, muszę iść.

C. zbierała swoje rzeczy patrząc, jak kobieta odchodzi sztywnym krokiem. Trzeba będzie wytłumaczyć B. brak. Koszta prowadzenia biznesu. Darmowa dawka. Trudno.

Wizyta

Drewniane schody. Drewniane drzwi. Drewniane drzwi się nie domykają, sparciały dawno temu. Za nimi ściana i skrzynki pocztowe. Schody, schody. Pukanie do drzwi.

- Kto? – zapytała B.

- Ja. Przyniosłam sprawunki.

Drzwi otworzyły się na szerokość, na jaką pozwolił łańcuch. Oko B. lypnęło na boki, po czym drzwi stanęły otworem.

- Herbaty się napijesz? Głodna jesteś?

- Nie, nie. Miejmy to już za sobą. Po drodze spotkałam jakąś ćpunkę. Nie wyglądała groźnie, ale wiesz jak jest. Kosztowała mnie działkę za siedemdziesiąt.

- Dziady pierdolone, starowinkę ograbiać – powiedziała z uśmiechem B. – Nic, podniesiemy im trochę cenę i się zwróci. Nie martw się.

Plecak wylądował na stole, obok krzyżówki i elektronicznej wagi. B. rozpoczęła narkotykową buchalterię.

- Skoczę do ubikacji i muszę zniknąć — powiedziała.

- Mhm.

B. z miną zadowolonego profesjonalisty układała małe paczuszki. Za mamusię, za tatusia, za babcię, za dziadka. Ktoś zapukał do drzwi. B. niechętnie podniosła się od ulubionego zajęcia.

- Kto?

- Ja. Chciałam coś.

- Forsę masz?

- Nie mam, nie mam. Wiesz, że nie mam. Ale mam złoty pierścionek, ukradłam. W barze ukradłam. Pomóż siostrze.

Klientka usiadła na wprost B., która oglądała pierścionek. Był wart z połówkę.

- Mogę Ci dać — przerwała B., patrząc na gościa — czemu masz takie wielkie oczy, co?

- Naćpałam się, za darmo — mówiąc to ćpunka wyciągnęła pistolet i przyłożyła do czoła B.

C. odczekała w ubikacji trzydzieści sekund. Nigdy nie wybiegać na odgłos wystrzału, trzeba się nauczyć. Strzelający zwykle jest podekscytowany i może strzelić znów do szybko pojawiającej się na horyzoncie osoby. Wyrzała ostrożnie za drzwi. Ciało B. leżało z rozrzuconymi rękoma, drzwi były otwarte i dało się łatwo stwierdzić deficyt heroinowy. Zamknęła drzwi, przemyśla twarz i ręce. Wyciągnęła chusteczkę. Wytarła kran. Zamknęła drzwi, wytarła klamkę. Podniosła zrzucony plecak i delikatnie przestąpiła nad ciałem. Musi się wynosić, policja będzie tu za niecałą godzinę. Trzy godziny pracy i nawet pieniędzy z tego nie będzie.

Wiszący telefon był centrum biznesowym. Wystarczająco anonimowy, żeby zaspokoić paranoję sprzedawców. Nakarmiony monetą, wydał z siebie sygnał tonu.

- Halo? Mamo, już wracam. Nie, były kłopoty. Właściwie są kłopoty. B. zakończyła karierę w biznesie. Raptownie. Klient. Nie, nic mi się nie stało. Mamo, nie płacz, B. będzie handlować nawet w niebie. Może inni dilerzy trafili tam wcześniej i dlatego Bóg zrobił nam taką zjebaną rzeczywistość, co, mamo? No. Do zobaczenia w domu.

2009/11/19 [8 komentarzy »](#)



Będzie profesjonalnie. Będzie konkurs. Będzie nagroda.



RUPY 2009

STRONGLY DYNAMIC CONFERENCE

Osoba, która napisze w komentarzu najlepsze **haiku** o programowaniu, otrzyma darmową wejściówkę na **genialnie się zapowiadającą** konferencję **RuPy**, która odbędzie się w Poznaniu, pomiędzy 7 i 8 listopada.

No, nie krępujcie się. 5 / 7 / 5 o programowaniu warte jest chyba 79€?

Aktualizacja: Jury składające się z **Eri** i **Shota** wybrało laureata. Laureat otrzymał właśnie e-maila. Dziękuję za poświęcony czas. Życzę dobrej zabawy na RuPy!

2009/10/29 [16 komentarzy »](#)



Lato

To był trzeci tydzień lata, na które nie zasłużył. Tak jak i jego kumpel z ulicy, został w tej samej klasie na drugi rok. Właściwie to go wyrzucili, ale rodzice nie wiedzieli, było ciepło i było boisko. Problemy mają to do siebie, że poproszone, ustawiają się grzecznie w kolejce, czekając na swoją kolej.

Kumpel z ulicy, Radek, wychowywany w porządnym domu przez porządną rodziców, z porządnymi dziadkami piętro niżej i Polonezem w kolorze morskim w garażu, był takim samym leniwym draniem. Mimo to cała wina za za słabe wyniki Radka spadła na niego, prowodyra bez powodu. Matka Radka pokonywała co jakiś czas trzysta metrów dzielących oba domy, żeby wspomnieć jego rodzicom o złym wpływie na jej syna.

Boisko było letnią mekką złych dzieciaków i trochę lepszych, ale nie na tyle, by je nazwać dobrymi. Po serii meczów, kiedy nogi odmawiały już posłuszeństwa, siadali i rozmawiali o tym, co będą robić w przyszłości. Ktoś chciał być mechanikiem samochodowym, inny, ku ogólnej aprobachie i zrozumieniu, chciał przelecieć Martę. Wszyscy chcieli zostać piłkarzami.

Było lato, na które wielu nie zasłużyło, i nie było pieniędzy. Radek zaczął właśnie palić papierosy, Sobieskie czerwone. Jego matka paliła inne. Podkradanie jej szluga było ostatecznością. I tam, gdzieś na starej betonowej płycie, pozostałości prac budowlanych, urodził się pomysł. Można przecież okraść niedaleki skład budowlany. Trochę cementu, trochę aluminiowych przewodów nawiniętych na szpule. Z nudów często przeskakiwali przez płot i ganiali się ze stróżem i jego psem, wiedzieli więc, na jaką odległość można się zapuścić.

W trzecim tygodniu i drugim dniu wakacji, na które nie zasłużył, przyszedł na boisko. Z daleka nie wyglądało to dobrze. Ludzie stoją w grupie, piłka leży gdzieś przy narożniku. Zakładał, że ma to związek z nalotem dzieciaków z dzielnicy za szkołą. Trzeba będzie kopać się po głowach i prawdopodobnie ktoś się popłacze, a ktoś będzie miał wstrząśnięcie mózgu. Ktoś ukradnie piłkę i trzeba będzie zaplanować odwetowy wypad na trzeci dzień trzeciego tygodnia.

Grupa zebrała się jednak nie wokół leżącego na ziemi przeciwnika trzymającego się za głowę i przyznającego, że jego matka jest kurwą. Na ziemi leżały kable w oplocie. Zapytany o ich wartość odpowiedział, że aluminium zawsze jest w cenie i prawdopodobnie uda się to zepchnąć jakimś frajerom. Problem był tylko z oplocem, którego nie dało się łatwo zdjąć. Rozpalili więc ognisko i cisnęli w nie zwój.

Rozpoczął się mecz. Były kontrowersyjne sytuacje, leniwy doping młodszych siostr i obtarte kolana.

Przerwał go pojawienie się samochodu. Była to nowość, zwykle przerywał go strajk któregoś ze skrzydłowych.

– Hej, jakież chujie kradną nasze kable! — zawołał Przemek

Grupa nastolatków otoczyła dwóch dorosłych przyglądających się ognisku.

– To wasze kable, chłopcy?

- Jasne, że nasze. A co?
- Chcielibyśmy je kupić.
- Ale po co wam tyle aluminium? — zapytał on.
- Prowadzimy firmę, która robi anteny.

Wyjaśnienie wydawało się to mało prawdopodobne, ale w fachu drobnych złodziejasków nie zadaje się zbyt wielu pytań, by samemu nie być pytany. Rozpoczęli ładować bagażnik. Nagle kątem oka zauważył czarny pojemnik, który widział już kilka razy podczas meczów. Popatrzył na Radka i drugą osobę, która właśnie prowadziła ostre negocjacje co do ceny, i wykonał w kierunku innych gest "spieprzamy". Rozchodzili się od niechcenia, doświadczeni w sztuce znikania. W połowie boiska dogoniły ich odgłosy dwóch ciał rzucanych na maskę i okrzyk — Stać! Policja!

Każda z okolicznych uliczek ugościła dwie lub trzy uciekające osoby. Strategia przetrwania. Kiedy stał tak zasapany, pewien, że pogoń już odpuściła, uśmiechnął się do Przemka i powiedział — Wiesz co powinniśmy zrobić? Powinniśmy iść do rodziców Radka.

Czyste podwórko i guzik dzwonka na klatce schodowej. Otworzyła matka. Oznajmiła, że Radka nie ma. Potwierdzili, że rzeczywiście i że dziś na noc prawdopodobnie nie wróci. Podniesiony głos i ściśnięte usta. Jak to nie wróci na noc? Bo, proszę pani, wie pani, Radka zabrała policja za kradzież. Krzyk, otwierające się drzwi, przeklinająca rodzina, babcia w ataku paniki. Dobrze wykonana robota.

Było wczesne popołudnie, był dobry mecz, uciekli policji, doprowadzili do placu matkę kumpla. Przed nami jeszcze tyle czasu, na który nie zasłużyli. Byle tylko Radka szybko wypuścili. Może popełnił błąd, ale potrzebowali go na skrzydle, z fajką w zębach, postawionym kołnierzykiem podrobionej koszulki Manchester United z napisem Eric Cantona. Ich własny *l'enfant terrible*.



2009/10/23 [5 komentarzy](#) »



[« Starsze wpisy](#)

Dotarłeś do końca. Czas na **nową** przygodę.

Eri [pokonuje korporacje ołówkiem](#). Czernski, Piotr [dziwi się światu](#). Wąglowski [prawi o prawie](#). Maciej występuje w roli służbisty [ateistyczno-sceptystycznej religii](#). Patryk [maca się z technologią](#). [Gadżety](#), [piwnice](#) i [trywialne informacje](#) w tę stronę.

Są też tacy, którzy gadają. O [filmach](#), [grach](#), [scepty-cyzmie](#), [japońskich bajeczkach](#).